

STAN. STWORA

WVLI CA



R.

D.

ULICA.

STANISŁAW STWORA.

ULICA.



KRAKÓW.
Nakładem Franciszka Terakowskiego.
1917.

LP I 2 h

Okladkę projektował Jan Orszulski.

K-80/9614
27.9. 201-

434058



Drukarnia Związkowa w Krakowie, ul. Mikołajska L. 13
pod zarządem A. Szyjewskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ULICA.

ULICA.

Tak jakgdyby kupcząca ciałem nierządnicą,
pełna słodkich obietnic zbyt taniej rozkoszy,
którą świt, dziecię słońca, nagą z objąć płoszy,
skryta w dwurząd kamienic sunie w dal — ulica.

W bezwstydzie, w rozuzdaniu, w dumnej pysze wzrasta
brutalna w swej nagości, podstępna i chciwa
to czai się do skoku, to znowu leniwa
ulica, nienazwawna, chora córka miasta!

Turkot kół, oddech pary i pęd elektryki...
cuda wiecznie twórczego umysłu człowieka,
przepyszne, bujne kwiały architektoniki.

Zdaje się, że tu życie ludzką krwią ocieka,
tu, gdzie, jakby kupcząca ciałem nierządnicą,
skryta w dwurząd kamienic sunie w dal — ulica!

PROMENADA.

Kram... bezpłatna wystawa pstrych szmat i rupieci,
ostatni wyraz mody... przybłęda z tandety,
w sznurówce dystynkcyi i czczej etykiety,
jak wąż, zwija się, skręca, mieni się i świeci.

Czułe spojrzenia, słówka — historye ucieszne;
w okół bukiety śmiechu, półszepty i krzyki,
gentelmeni, modnisie bezduszni i smyki,
łase panie, panienki... cnotliwe i grzeszne.

Szyk i elegancya — chciwie patrzą oczy
w czeski kamień, w figurki, wypychane wata,
kapie złoto, jaśnieje len sztucznych warkoczy.

Gdzieś z błękitu z grymasem przygląda się lato.
Jak paw, pstrzy się i puszy błaga, blichtr i szminka,
promenadzie tnie walca zgrana katarynka.

KAWIARNIA.

Przytułek dla bezdomnych przesadnie łaskawy,
gdzie za kilka miedziaków można spocząć chwilę,
przejrzeć dziennik, wzrok napaść, gonić znów motyle,
tuląc zmiętą twarz w wonny opar czarnej kawy.

Tutaj to gest i poza z głupią błazna miną
szarpie się i nadyma, nie szczędzi pieniędzy,
chcąc zapomnieć o własnem ubóstwie i nędzy,
i rozlewa strumieniem i likier i wino.

Z pod kosztownych jedwabiów i lichych gałganów
pustka skrzeczy, powstają nieczyszczalnych planów
genialne pomysły — uczucia najczystsze,

tu kreślą nowe drogi sztuce arcymistrze,
mielą, nicują myśli... te same co wczora,
— zeschła i zwiędła w dymie kawiarniana flora.

ZAŁĘK.

Wypchnięty z frontu miasta tu znalazł przytułek
skażony grzechem, zgniły rozpustą i zbrodnią,
grożący ostrzem noża w dzień i w noc przechodniom,
odarty z tynku, brudny, niechlujny zaulek!

Obce mu są ogłada i gest pański rynku,
przepisy o czystości i inne ustawy,
wylęgle z mózgu kłowna, — synaczek nieprawy
wiedźmy nędzy staruszki i pijaka szynku!

W przytulku chuć niesyta wydała go na świat,
głód i rozpacz w ratunku nóż wcisnęły w pięście
i odtąd rzadko kiedy już wychodzi z za krat...

Zdaje się, że go dzieckiem uwiodło nieszczęście,
tu się skrył bezpiecznie z twarzą krwią obrzękłą,
tak jakgdyby sumienie przed sobą uklęкло.

CIEŃ.

Zwykle wychodzi na świat w podwieczerek, o zmroku,
 spać się kładzie, gdy świtem szarzeje ulica,
 tanią farbą smaruje zżarte życiem lica,
 łatwo można ją poznać w ulicznym natłoku.

Była dobrą panienką, dzisiaj pełna sromu
 mamcia strzegła, jak oka, tkliwie chuchał tatko,
 — kochała... lotr ją zdradził i — została matką — —
 odtąd nie było dla niej miejsca w ojców domu.

Jak psa wygnali na bruk, wreszcie coś zostało
 innego tu, gdzie wszystko bez serca i duszy,
 jak pójść sobie... brnąć dalej i... sprzedawać ciało.

O biedna! Gdy samotna błądzisz w nocnej głuszy,
 niech ci się zwidzi Chrystus, idący z daleka,
 Który jeden, co w tobie uznał był — człowieka,

WYSTAWA.

Widowisko dla gapiów, przystań dla żrenicy,
jak cudowna z tysiąca jednej nocy bajka,
rozkwita w głębi musu misterna mozaika :
wystawa — kwiat bezwonny, ozdoba ulicy !

Jak kokota, narzuca się i wpada w oko
i z wyrafinowaniem drażni podniebienie,
— sprzedaje się jedynie po najwyższej cenie,
z pierwszorzędnej swej firmy słynie w świat szeroko.

W salonikach, wśród tanich jedwabów szelestu
pojawia się w świątecznych dni chwale, jak gdyby
cieszyła się pańskością wykwintnego gestu —
wydziedziczeni dobrze znają ją z za - szyby !

POŁUDNIE.

Wnętrza zatęchłe fabryk i ogłuchłe w huku,
w ciemne nory zaułków w wszystkich stronach miasta,
metalicznym rozprasza się dźwiękiem — dwunasta,
a za nią w ślad niemrawie wlecze się po bruku

wpatrzone w tarcz słoneczną roziskrzoną cudnie
wsparte o stare ściany kamienic i płotów
wolne chwilę od zajęć zwykłych i kłopotów,
anemiczne, zgarbione, bezradne — południe.

Wypreża się i ziewa, przystaje leniwie,
rozgląda się, jakgdyby zapomniało siebie,
znużone ciąglą myślą o powszednim chlebie,
wiecznie głodne, łakome... rzuca okiem chciwie

ku straganom. Spragnione w krąg zalega studnie
po placach i podwórkach, omdlałe w gorącu
pada na bruk w bezsile i praży się w słońcu
zgarbione walką o byt — leniwe południe.

W KAWIARNI NOCNEJ.

Aż do stóp uniżona i do usług skora,
spodlona, czyhająca na skinienie palca,
rozbawiona, skacząca w takt lichego walca,
cuchnąca, pełna dymu, żądna uciech nora!

Bezduzna rozpustnica, słodkie obietanki
dla zbląkanej émy nocnej bez jutra i dachu,
gdzie zawsze spędzić można bez troski i strachu
noc do rana, w objęciach kupionej... kochanki.

Zgiełk, wrzawa, zmięte twarze, bezwstyd pijanych śpiewek,
pisk skrzypiec i basetli — cynizm, rozuzdanie,
zawrotny skok kankana, śmiech plugawy dziewczek,
zgrzyt szkła — szal — obłęd zmysłów — dyszy pożądanie.

Strącona w rynsztok dusza rzuca się i szasta,
zapomnień w ściekach szuka swej żebraczej doli — — —
— pod bramą ktoś przystanął z dobrodziejów miasta,
splunął i poszedł dalej! — — — Coś boli, tak... boli!

W TRAMWAJU.

Jedziemy, by na podbój złotem błyszczącego kraju,
z piekielną, dziką siłą pęd szybkości wzrasta,
jak kule bilardowe toczą się koła tramwaju,
— pospieszna elektryka przejażdżka wśród miasta.

Zgrzyt dzwonka szarpie nerwy, niby echo walki,
którą z odwiecznym czasem prąd stacza bezkrwawie,
...zdaje się, że w ulicy ludzie tkwią, jak lalki
w jarmarcznym z płótna kramie i patrzą ciekawie...

Na ławce płotka siadła i słucha rozmowy — — —
— Mamusiu, — wtrąca chłopczyk z błyskiem szczęścia w oku —
ten tramwaj, jak mój statek sunie papierowy,
kiedy na wezbrane puszcę go fale rynsztoku.

WIOSNA.

Z kwiatem w ręce, z tandetną elegancją, z szykiem
lalek... z za szyb konfekcyj damskich, w imitacji
panama... z cuchnących izb... wypelzła w świat z krzykiem
wiosna, — chłonna chciwie woń bzów i akacyi.

I zdaje się, jakgdyby pośród murów pleśni
w kłębach fabrycznych dymów i kurzu przedmieści
zbłąkała się księżniczka z bajek i powieści,
prósząca bielą kwiatów z karłałych czereśni!

Rozparła się na plantach — bezmyślnie spogląda
z pod parasolki w słońce — kokietka w atłasie,
czerpiąca ze żurnалу treść swą, w którym moda
przyniosła w zagranicznym smaku i grymasie

ostatnie swe nowości. — Krzykliwie radosna,
wystrojona w koronki i tiule — na kredę...
z pychą pawia po bruku paradyje... wiosna,
zwiądła przedwcześnie, własną okłamując biedę!

ULICZNIK.

Na świat przyszedł w przytułku półżywy,
ojca nie zna, a matka... w b
jak ptak niebieski wzrasta, nietkliwy
na swą dolę — rad z życia bez celu.

Niema domu, bo pocóż mu dom,
gdy w objęcia garnie go ulica,
księżyc wątek rzuca jego snom
i przyjaźnią słońce go zaszczycą.

Czasem zarobi, częściej znów ukradnie
zwykle z nudów wystaje pod bramą,
— artysta z bożej łaski... gwizdże ładnie
i umie pięknie ukłonić się damom.

I żyje sobie tak niefrasobliwie
obojętny, śpi w nadrzecznej łozie,
kontent, gdy słońce grzeje go pieściwie,
— zimą najchętniej przesiaduje — w kozie.

SOBOTA.

Czarna od dymu, brudna, ciężka, jak robota
w kuźniach, gdzie chleb codzienny wykuwa się młotem,
wyczerpana ze siły... i cuchnąca potem
z wrzaskiem syren z warsztatów wyległa — sobota!

Rozpacz... jędza, zrodzona z podłego wyzysku,
gna ją, gdzie w wódkę krwawą przetapia miedziaki
w zapomnieniu, że w domu przy pustym półmisku
próżno ojca czekają zgłodniałe — dzieciaki!

PÓŁNOC.

Oślepla w trupiem świetle latarń — rozkochana
w starszej swej siostrze nocy... rodzicielce grzechu,
wypchnięta z trudem z szynku, w półobłądnym śmiechu,
jak krzyk duszy zdeptany... senna i pijana

z hałasem się zatacza w mrok rozpustna mniszka;
północ! — Wyklęta z praw dnia dzień cały przesypia
w zaułkach, z zmierzchem wstaje i wytrzeszcza ślepia
w stronę szynku, gdzie trud swój skrywa w dnie kieliszka.

Łka i wzdycha zbłąkana w ogłuchłej ulicy,
żądnie patrzy w mdlejące w kankanie kawiarnie,
— odtrącona od serca... w objęcia się garnie
i zwiesza się na głodnych ustach... ulicznicy!

PODWÓRZE.

Zamknięte z wszech stron murem cudacznym w strukturze,
odcięte oficyną od żądz i grymasu
skokociałej ulicy — zgnile z biegiem czasu
na cuchnącym śmietniku wsparło się... podwórze.

Z ceglastych, brudnych murów, odrapanych z tynku,
zaklętych w czar tajemny, zdaje się, że patrzy
nędza, kuma suteryn, i krwią skrzepłą znaczy
dzieje wydziedziczonych z świetności, praw... rynku.

i nikt tu nie zagląda, czasem z suteryny,
kiedy z wiosną przejasne słoneczko zaświeci,
bawi się w śmieciach grupka suchotniczych dzieci,
wsluchanych w takt wędrowniej, starej kataryny!

i zdaje się, że nic tu... nikogo nie czeka,
prócz śmierci, która jedna stąd swe żniwo zbiera,
a przecież się w tych śmieciach, brudach poniewiera,
wzgardzona dola, życie... biednego człowieka.

NA SPACERZE.

Pani matka, synalek i papa dobrodziej
i córka jedynaczka, by święta z obrazka,
skarb najdroższy, perełka, wielka niebios łaska
i on ze stanowiskiem — dziewiczych snów złodziej!

Zadowolony papa rad coś w myśli skręca — — —
— kołaczą, walą serca jak w warsztatach młotki,
drży pierwszym żarem uczuć bujna pierś dziewczęca,
lśni, jak bańka mydlana sen o szczęściu słodki!

Wszystko jest jak przystało ludziom z lepszej klasy
i manier salonowych najlepszego tonu,
zakłęcia i przysięgi na miłość do zgonu,
tresowane półsłówka, dąsy i grymasy.

Chwila powrotu. Zdyszał się tatko dobrodziej.
— On jak ptak na odlocie, ona do łez smutna.
W gwiaździsty przestwór księżyc wypłynął czarodziej,
i parsknął śmiechem — Miłość to bajka... wierutna.

PIERWSZY DZIEŃ MIESIĄCA.

Uporawszy się z długiem w sąsiednim sklepiku,
uiściwszy za miesiąc należne czynszowe,
mając na moment krótki wolną od trosk głowę,
rozpiera się po knajpach wśród zgiełku i krzyku

szeroki w geście: pierwszy! Przeżywszy bez treści
miesiąc długi -- rozhulał się jak wiatr po stepie,
niepomny, że przejdzie całych dni trzydzieści
znowu, jak wieczność, długich -- o zmurszałe rzepie!

LATARNIA.

W przyjaźni z nocą chętnie do siebie przygarnia
brać pijaną, zbłąkaną w labiryncie mroku...
w dzień niepokazna ginie, schnie w ulicznym tłoku
strupieszaly, gruźliczy kwiat miasta — latarnia!

Mieszczka, w rozgwarze miejskim wzrosła, zawsze sama,
świadek naoczny głośnych brukowych sensacji,
z zmierzchem patrzy w ulicę smętnie, pełna gracyi —
w nocy wielce uprzejma i usługna dama!

Ze sercem się odnosi do dziewcząt... z zaułka,
które wyrzuca głodne szynk albo kawiarnia,
...w wzgardzonej doli... szczerze tkliwa przyjaciółka,
ona: kwiat na śmietniku... uliczna latarnia!

Z ZA SZYB BAZARU.

Sen najcudniejszy w życiu... pocięty w pstre skrawki,
któż go nie śnił z nas w niemym zachwycie o zmroku
na rękach starej niani? cóż miłszego oku?
...nić z kłębka cud-królewny... dziecięce zabawki!

W pokoju babci w słońcu marzony kraj cudów
z kolorowych papierków... tektury i blachy — — —
wycinane misternie z obrazeczków strachy
z podróży Guliwera w państwie wielkoludów.

Domki z kart, sny, warowne na skałach zamczyska,
pałace i z bezmyślną twarzą księżyc w nowiu,
sceny z bitw, wojsk szeregi, odlane z ołowiu,
pajace, lałki kruche, ludzie bez nazwiska.

Opowieść, jak z przed laty, a przecież tak bliska,
dziś śni się tylko dzieciom, patrzy w świat ciekawie
z za szyby w eleganckiej złożonej oprawie
i w ulicy, jak bańka mydlana, rozpryska!

MRÓZ NA PLANTACH.

Wypchany koniecznością z domu, z swej świetlicy,
 w baraniej, taniej czapce wtulony we futro
 Zmarznięty, drżący z zimna, stroskany o jutro
 Wąły mieszczuch... mróz — szybko biegnie wskroś ulicy!

Skręcił w planty — i zda się, że wskrzesnął świat mglisty,
 niedostępny, przedziwnych czarów — panorama
 wielce cudaczných rzeczy, kraj skarbów sezama,
 cudem łaski... pod ręką boskiego artysty!

— — — I skrzą się w zimnem słońcu rozsute brylanty
 w suterynach, w piwnicznej norze, gdzieś pod ścianą
 mróz się wcisnął pod łachman, ten sam mróz, co rano
 w precudowną baśń zimy — zaklął martwe planty!

Z TRAGEDYI DNIA.

Świt się już budzi — szarzeje wśród drzew
i liście w przedrannym drżą chłodzie
i znów wraca życie o chlebie i wodzie,
ktoś upadł i jęknął: psiakrew!

Świt się już budzi — szarzeje wśród drzew
i słońce wschód krwawo swój znaczy
o doło ty, doło, o losie — żebraczy,
ktoś westchnął głęboko: psiakrew!

Świt się już budzi — szarzeje wśród drzew;
w kimś serce przestało bić z bólu...
do ojca dzieciaki przypadły: Tatulu...
coś łka tak i płacze: psiakrew!

Świt się już budzi — szarzeje wśród drzew,
z ścian patrzy twarz Boga zmartwiała,
jak dzieciom małym śmierć ojca zabrała
o losie! o życie! — psiakrew!

NAD RANEM.

Knajpa na pół pijana... w ulicy świt szary
majaczy, otulony w mgieł leciuchne chusty,
znużonych gości bawi fortepian, grat stary,
wszyscy przed chwilą z domu wrócili rozpusty.

Po szynku wódka krąży, szczerze się rozlewa,
w kałużach niedopitych trunków stoły mokną,
w mdłym świetle lamp pod ścianą w kącie przesyt ziewa
i kokietuje z nudą świt, co wgląda w okno!

Goście, mocno pijani, patrzą przed się tkliwie,
coś się im śni i marzy, niemoc w drzwiach stanęła,
a fortepian wciąż huczy i dudni fałszywie:

„Jeszcze nie zginęła!“ — — —



W ULICY.

Kawiarnia... przepych — elektryka,
szeroki w gieście tłum — muzyka,
gwar — pyszne stroje, pióra pawie,
brzęk złota — goście przy zabawie.

Ulica — nędza drży zziębnięta,
z płaczem wyciąga dłoń po centa,
dobrodziej z złością syknął: zmarniej!
kopnął i poszedł — znikł w kawiarni.

O głuche jeno nieb skupienia
runął błagalny krzyk: sumienia!



CZEŚĆ DRUGA.

LIRYKI.

PASTELA.

O kwiaty moje! kwiaty, białe kwiaty,
i wy róż śnieżnych zadumane dale,
niewypłakane nigdy łzy i żale,
spalone tchnieniem ust — maków szkarłaty!

Snów nieziszczonych błędne korowody
w złote południe we wiśniowym sadzie,
jeszcze mi cień wasz na serce się kładzie
— listki, rzucone na skłębione wody!

Boleści cicha w Chrystusowej twarzy,
o serce biedne, serce, rozekłane
w poszumach stepów i wiejskich cmentarzy!

O jaskry żółte i białe stokrocie,
kwiaty wy moje, w słońcu rozkochane,
i białych ptaków stada — na odlocie!

RADOŚĆ CHWILI.

Może mi kiedyś sen ten znów się przyśni
i biel rozkwitłych jabłonek i wiśni,
— a teraz duszo moja, o duszo tęskniąca
błogosławieństwo ziemi weź i słońca!

Otom przystroił w dzień z Szczęściem zaślubin
komnaty moje w dziewannę i łubin
i zasiem sprosił i ślepe i chore,
co na rozstaje w nocną przyszli porę.
I oto miejsca zasiedli biesiadne
i są dziś u mnie i liche i władne! — — — *

A każdy smutek ma wielki w swej twarzy,
mimo wesela jakim Pan ich darzy —
i w oczach kryją swych słodkie zdziwienie
— o chwilo Cudu ty, o snów spełnienie!

Otom nie pomny dzisiaj krzywd nikomu
ni tym co u mnie najedli, napili
potem wyszedłszy zasia mi rzucili
żagiew płonąca pod próg mego domu!

— — — — —

Otom nie pomny dziś krzywd nikomu!

— — — — —

O bądźcież wy mi dziś błogosławione
 kwiaty maleńkie, wy na rośnej łące
 białe stokrotki i maki czerwone,
 błogosławione życiodajne słońce!
 I wy tam gwiazdy na nieb firmamencie
 błogosławione bądźcie i wesele czyńcie!

Oto na gwiazdy kładę ręce smutny
 i jestem słońcem dziś dziwnie rozrzućny.
 — Wesele czynię, ktoby mię chciał zasię
 w snach podejść, na nic jego trud mu zda się.

Pokój dziś z wami!... Przestańcie się smucić
 i troska. — Sny złe trza wam precz odrzucić.
 — Wesele czyńcie! Przepomnijcie trudu,
 bowiem się ziści wnet godzina cudu.
 Otom was kazał sługom moim sprosić,
 iżbyście światła u mnie mieli dosyć!

— — — — —
 A ktoby przeto chciał mi dziś złorzeczyć
 i chciał mi onym tajemnicom przeczyć,
 co nie są ze mnie — niechaj się z tem spieszy,
 nim przyjdzie Pan, a on go rozgrzeszy!

NA TEN UGÓR, NA TEN CICHY...

Na ten ugór, na ten cichy
chyłą się kwiatów kielichy
i płaczą — — —

Nad troską, co krwawi i boli,
nad krzyżem, co stoi wśród roli,
nad dolą ludzką, tulaczą,
chyłą się kwiatów kielichy
i płaczą!

Na ten ugór, na ten cichy
chyłą się kwiatów kielichy
i płaczą —
łzami krwawemi!

I chyłą się kwiaty do ziemi,
na ugór chyłą się cichy,
a wicher pomiata nimi
i listek po listku z nich strąca,
a one bez tchu i bez końca
do słońca lecą... do słońca!

O MOJE BIEDNE, ZAPOMNIANE DRZEWA.

O moje biedne, zapomniane drzewa
rozłkało mi się serce w rytm żałosny —
smutny, jak jesień, wicher i ulewa
i ciężki taki, jak żal po dniach wiosny
i leci myśl ma, jak zbłąkana mewa
ku wam... me biedne, zapomniane drzewa.

Czy też ja jeszcze kiedyś was zobaczę,
tak los mię od was odrzucił daleko —
tu, gdzie się zdaje, że każdy liść płacze
i lży się jeno cisną pod powieką,
gdzie słońce całą straciło słoneczność
i życie schodzi, jak wieczność... jak wieczność.

Tęsknię za wami i list do was piszę,
chcę by serdeczny taki był a bratni
— jutro już może śmierć mię ukołysze
i list ten będzie pierwszy i ostatni,
ostatni list mój i ostatnia spowiedź,
...a jak mi smutno dziś... ty serce powiedz!

O moje biedne, zapomniane drzewa,
świecie pamiątek i dziecięcych marzeń
— niczego już się serce nie spodziewa

prócz śmierci jednej i życia bez zdarzeń,
gdzie każdy sen się jak ta mgła... rozwiewa
o, moje biedne, zapomniane drzewa.

Słucham, czy szum wasz tu mię nie doleci
i nie przyniesie jakiej od was wieści.
— U was tam... teraz pewnie słońce świeci
i każdy listek rozgłośnie szeleści
i cała wieś się we słońcu rozlewa
o, moje biedne, zapomniane drzewa.

A może u was także dzień tak schodzi,
jak tu... w bezmiernym żalu i rozpaczy,
gdzie żadna ręka czoła nie ochłodzi
kiedy się w znoju krwawym potem znaczy
i może u was też noc taka głucha,
gdzie nikt nie woła i gdzie nikt nie słucha...

O, drzewa moje... jednaka nam dola...
i z was tam pewnie wiatr liście otrąca
i gna przez chłopskie łzę zasiane pola
i wam tam także brak, jak mnie tu, słońca,
— jedna nam dola... i jedna nam spowiedź
a jak mi smutno dziś, ty serce powiedz!

W ZAMYŚLEŃ CHWILI.

W zamyśleń chwili w cichej piosence
przychodzi do mnie
i na mem sercu kładzie swe ręce
smutna ogromnie. — — —

A czasem znowu przychodzi we śnie
w blasku miesięcznej poświaty
i patrzy na mnie długo, boleśnie
i białe rzuca mi kwiaty.

Z NIEWYSLANYCH LISTÓW.

Dziewczyno moja, o dobra dziewczyno!
 piszę do ciebie w noc słotną i ciemną,
 z oczu mi tylko łzy po cichu płyną
 i nikt prócz smutku nie jest dzisiaj zemną,
 za oknem tylko wspomnień mara błąda
 twarz skryła w dłonie i deszcz cicho pada.

O, ciche, białe, o, kojące ręce,
 serdecznych hojne umiłowań łaski,
 sny z nad kołyski... jasne sny dziecięce,
 cuda wiośnianych tchnień wonie i blaski,
 ...najszczerze złoto dziewczęcych warkoczy
 i twoje dobre ukochane oczy!

O, najmilejsza przyjaciółko moja
 nie wiń mnie o to, że jeno wieczyście
 skarżyć się umię, że mi ciężką zbroja,
 żem jest jak zwiędłe z drzew zrzucone liście,
 żem nie nauczył siebie płakać skrycie,
 bo tak się smutnie me złożyło życie.

Błogosławieństwo ciche gwiazd tym, którzy
 przekleństwem swojej nie skazili wargi —
 lecą choć skrzydła lotu trud im nuży

umieją cierpieć i konać bez skargi,
niech w snach swych słońca zawsze mają zadość,
zwycięstwo z nimi wesele i radość!

Cóż powiem moim młodzieńczym marzeniom
o orlim locie... cóż?... gdzie się podzieję...
i cóż ja powiem podobny dziś ceniom
pól elizejskich — o, moje nadzieje!
Jakże zawodzi wiatr w sadzie żałośnie,
jak gdyby z żalu po kwiatach i wiośnie.

Czemu cię nie ma... taki smutny jestem,
jak kwiat jesienny w mgłach i wicherze wędne
(noc się upornym rozłkała szelestem)
w twe ręce serce me bym złożył biedne,
wszystkie mych wzlotów i upadków chwile
i miałbym szczęścia choć tyle... choć tyle!...

Piszę... choć w piersi westchnienia coś tłumi,
coś boli... boli... drży, jak liść na wietrze
w suchych gałęziach wiatr szumi... wiatr szumi,
myśli się przędą coraz, coraz bledsze
...z pod pióra wicher unosi mi słowa
gdzieś w dal... ostatnie — bądź zdrowa, bądź zdrowa!...

Z SŁOTĄ JESIENNĄ.

Widzisz?... jak lecą liście z drzewa
i krwawo świecą — — —

...to łązy tak czyjeś cicho lecą.

Słyszysz?... jak wiatr łąka i ulewa
w cmentarnej dali

...dziwnie, żałośnie — — —

to dusza czyjaś tak się żali,

kwiatom i wiośnie!

PONAD KRWAWIĄCYM, ZGASŁYM ZNOJEM...

Niech przyjdzie ktoś w próg mojej strzechy,
kiedy wiatr liście z drzew otrąca
i słowo wniesie mi pociechy
i choćby jeden uśmiech słońca!

Ponad krwawiącym, zgasłym znojem,
kiedy już do snu dzień się skłania,
dzień pełen trudu i móżołów
niech przyjdzie z ciszą i z spokojem —
do mnie z wędrownych ktoś aniołów,
ktoś z cudem łask i ukochania
...niech przyjdzie z ciszą i spokojem
i złoży dłoń na sercu mojem! — — —

I niech mi w senną zmierzchu ciszę,
gdy w piersiach płacze coś i rwie się —
serce na cichy sen kołysze
i jasne, złote sny mi niesie.

Bo takby chciało się zapomnieć
nieraz swych własnych strat i bólu —
bołu, co tak się w duszę wwierca,
a chciałoby się wyogromnić,
przytulić cały świat do serca,
jak ten na krzyżu Chrystus w polu. —

O, życie pełne łez i bólu!

NAD WÓD OTCHŁANNĄ STOJĘ GŁĘBIĄ...

Nad wód otchłanną stoję głębią
i patrzę w mroczną dal bez końca,
u stóp się moich fale kłębią
i gwiazd nie widzę już ni słońca!

Pozamną jeszcze łąn się pleni
i kwiat wśród skalnych drży wyboi — —
i młode życie się czerwieni
w snach złotych jeszcze gdzieś... i znosi.

Raniony ptak we świty rwie się
o kwiaty, złote sny, o życie!
— w szalonym pędzie wichur niesie
samotne statki na rozbicie!

Przedemną pustka... mrok bez końca,
fal jeno groźnych słyszę wycie
i gwiazd nie widzę już ni słońca
— o, kwiaty, złote sny... o życie!

OPADA LIŚĆ...

Na sen... na sen... na ciszę,
na wieczność... na wieczność
ktoś serce me kołysze.

I gaśnie moich snów słoneczność,
gaśnie mi z każdym dniem,
powoli tak... powoli,
zostaje tylko to co... boli
i tylko to co... pali.

Wszystko mi w gruz się wali — — —
zmrożony wichru tchem
opada liść... opada liść ze drzew,
na grób... na cichy grób mych marzeń
...serdeczna... serdeczna krew!

Dziwne są zbiegi zdarzeń,
dziwnym jest świat — — —
w bezsile patrzę i patrzę
jak więdnę, jak mrze mój kwiat,
jak co dzień... co dzień... co krok
staczam się w mrok...

O, życie, życie! — — —
westchnienia w piersi tłumię,

o, serce, serce dumne! — — —
Zbyt wcześnie łamie kwiaty mróz,
...cmentarne drzewa szumią,
cyt!... słyszysz? jak się wali gruz
na trumnę... na trumnę...

NA BIAŁYM MIĘKKIM ŚNIEGU.

W zamartej, leśnej stoję głuszy
i ku dalekim patrzę polom,
jak śnieg płatkami cicho prószy.
— I tak mi dobrze tu z mą dolą, —
tak dobrze... w tej bezgłośniejszy,
gdzie jeno szum się wiatru słyszy,
jakby tu był mi ktoś łaskawy...
i pot ocierał z czoła krwawy.

O, druhu dobry... stary lesie,
niech suchy liść mi twój szeleści
i niech mi jeno szum twój niesie
posłanne dziś od śmierci wieści.
O serce biedne... serce moje,
z sierocą tu twą dolą stoję.
i patrzę tylko jak śnieg prószy,
...jakby na sen ostatni duszy.

Lecz nim odbije łódź od brzegu
i we styksowej zniknie fali,
— niech przyjdzie tu ktoś do mnie zdali,
ktoś sercu drogi... ktoś z bezdroży
i na tym białym, miękkim śniegu
wpierw serce me do snu ułoży.

DOLA.

Mróz na szybach wzorzyste powycinał liście,
 brr... jak zimno... chłop mruknął, że aż dech zapiera,
 co robić... kuma-bieda dźwierzami się wdziera,
 Boże, Boże... jak z biedą człek zrósł się wieczyście!

Zima idzie... w sąsieku ani garści żyta,
 co woda nie zabrała, resztę deszcze ścięły,
 doło ty!... pustka w chacie... głód za gardziel chwyta,
 nie ma rady... ostatni cent podatki wzięły!

Doło, doło! chłop czapkę nacisnął na uszy
 i wyszedł. — A w chałupie śmierć z dziećmi została.

W starym lesie... w noc gałąź gdzieś trzasła spróchniała,
 ...wiatr drgnął dziko w konarach — ostatni krzyk duszy...
 Na zmarznięty śnieg cicho, suche spadły liście,
 Boże, Boże, jak z biedą człek zrósł się — wieczyście!

POCÓŻ TE WSZYSTKIE NIEPOKOJE.

Ucisz się serce, biedne serce,
pocóż ci wiecznie wzbierać płaczem,
cóż tobie w ciągłej trwać rozterce —
o, serce! czyżby było za czem?

Jakiejże to płaczemy straty,
że tyle łez i tyle zgrzytu,
... bądźmy, jak pierwsze z wiosną kwiaty.
spragnione słońca i błękitu!

Pocóż się troskać... lepiej przecie
na słońce wyjść, kiedy nam świeci,
zbierać do wianka polne kwiecie
i bawić się, jak małe dzieci.

Pocóż się zawsze smucić tylko,
gdy w koło tyle pięknych rzeczy, —
życie i tak jest jeno chwilką
a śmierć ukoj i uleczy!

Czemuż się nasze myśli smuć —
o, powiedz serce... serce moje,
sny co się śniły, nie powrócą...
pocóż więc wszystkie niepokoje?

Myślisz, że nam się los odmieni
o, serce! Trzeba być jak dzieci —
...wyjdźmy na słońce zachwyceni
i patrzmy w słońce, kiedy świeci!

Uciszyć się serce... biedne serce,
pocóż ci wiecznie wzbierać płaczem,
cóż tobie w ciągłej trwać rozterce —
o, serce, czyżby było za czem?!

RYCERZ ZAKOCHAŁ SIĘ W LALE CZCE...

Rycerz zakochał się w lalczce,
w lalczce takiej ot — z wystawy, — — —
rycerz, co w świecie już niejeden
bój z wrogiem stoczył, straszny, krwawy.

Rycerz się w lalce rozmyślał,
— gród miał z kryształu i mozaiki, —
lalczkę z kruchej porcelany
uczynić chciał księżniczką z bajki!

...Za siódmą górą, siódmą rzeką,
hej! — wstaje słońce w nieb przeźroczy...
— rycerz się w lalce rozmyślał,
co miała duże, czarne oczy!

I życie za nią dać był gotów,
sen o niej roił złudny, słodki...
— lalka w serdecznej była zmwie
z pajacem szklanej gabilotki!

Rycerz urodny był, waleczny,
i nieśmiertelną zdobył sławę,
— pajac swym modnym garniturem
tłum gapiów ścigał pod wystawę.

Ułudny śnie! o, sławo! sławo!
 Losie zwodniczy!... doło płocha!
 Laleczka krucha w pychę rośnie,
 jakoże w niej się rycerz kocha!

Choć jej rycerska miłość schlebia
 i w snach się gubi i zatracą,
 ...swe martwe oczy, czarne, duże
 utkwiła w śmieszny strój pajaca!

...Pajac tłum ściaga pod wystawę. — — —
 Laleczko mała, pełna czaru...
 patrząca w świat swym szklanym okiem
 z za okopconych szyb... bazaru!

Skoro świt pierwszy, rycerz wstaje —
 woje gromadzi i witezie,
 chce bój wpierw stoczyć, nim na zamek
 księżniczkę swą... laleczkę zwiezie!

Za siódmą górą, siódmą rzeką..
 Szczęście przechodzi cicho, zwiewnie...
 cudnie rozkwita kwiat paproci,
 baśń kładzie się u stóp królowie!

Na wojnie rycerz siły traci,
 miecz we krwi pławi, kruszy groty
 i za laleczkę z porcelany,
 jak kwiat w skwar lata mrze z tęsknoty.

Laleczce w słońcu chwile płyną,
...laleczka była piękna... caca!...
I wpierw nim rycerz wrócił z wojny
laleczka wyszła za... pajaca!

W DRODZE DO ŚMIERCI.

W drodze do śmierci niechaj zawsze
snom twoim jasnym będzie zadość ;
gdzie inni ronią łzy najkrwawsze,
ty śmiech na uśmiech miej i radość !

O, zawsze, bracie mój, i wszędzie
myśl miej pogodną i błękitną,
że jutro słońce świecić będzie
i łzy nam w kwiaty się rozkwitną !

Choć życie przędzie snów ci targa,
niech łez nie liczy twych przechodzień,
obcą niech tobie będzie skarga ;
bowiem my bliżsi... śmierci co dzień !

A W TEM SŁOŃCU... W SŁONECZKU...

Chodzi sobie słoneczko i świeci,
chodzi sobie takie nietroskliwe
po błękicie — i takie jak dzieci
uśmiechnięte, jasne, i szczęśliwe.

A w tem słońcu z gorzkich łez ogrojca
w tem słoneczku... uśmiechniętem cudnie
rozkwitł pysznie krzak róży w polu mego ojca,
w skwarze lata, w upalne południe.

O, kwiecie różany kwiecie! o, kraju!
W słoneczku ojców mych strzecho,
...krwawiące serce Syna na rozstaju
o, cicha, słodka, pociecho!

Ku Tobie prężę ramiona,
ku Tobie mój wlecze się cień,
ku Tobie... ku Tobie... nim skona...
nim mój pochylił się dzień.

A tam w górze, po jasnem, po niebie
chodzi słonko i słucha spowiedzi,
jak się myślą o powszednim chlebie
łzą i troską chłopska dola biedzi.

A w tem słonku, z gorzkich łez ogrojca
w tem słoneczku, uśmiechniętem cudnie
rozkwił pysznie kwiat róży w polu mego ojca
w skwarze lata... w upalne południe.

PYTASZ MIĘ...

Pytasz mię w twoim przedostatniem liście
pełnym młodzieńczych snów i jasnych marzeń,
w którym się każde słowo skrzy złościście,
jak dnie mi schodzą i wśród jakich zdarzeń
i czy mi wśród tej szarzyzny i zgrzytu,
nadosyc starczy słońca i błękitu!

I cóż Ci powiem — ot chyba, że żyję,
że mi niczego w życiu nie potrzeba
i że już serce moje jest niczyje.
— Dość mi, jak kawał mam jasnego nieba
i trochę słońca — cóż się biedzić wiecznie,
kiedy żyć można cicho — i słonecznie!

Słońca, błękitu, kwiatów... jak najwięcej,
czyż warto trudzić się o rzeczy inne,
gdy wszystko mija czy później czy prędzej
jedynie, żeby serce mieć niewinne,
które się cieszy, jak się cieszą dzieci,
kiedy im w oczy jasne słońce świeci.

Marzyłem wiele... dziś mi wszystko jedno,
to, co się stać ma, wiem że stać się musi,
czy mi się gwiazdy roziskrzą, czy zbledną;

tęskniłem zawsze za ręką matusi,
ot wczoraj jeszcze, dziś wszystko mi jedno,
czy mi się gwiazdy roziskrzą, czy zbledną!

Zbyłem się troski — i szczęśliwy jestem,
przedtem kochałem... dzisiaj Kocham kwiaty,
jak kocha dziecię... cieszę się szelestem
wiatru, gdy kładzie się po ścianach chaty
i jest mi dobrze! — Cóż mi więcej trzeba
nad jasne słońce... i nad błękit nieba!

TAK SIĘ TU WSZYSTKO DZIWNIE PLECIE...

Tadeuszowi Saloniemu.

Tak się tu dziwnie wszystko plecie,
dziwniej, niż by kto myśleć mógł, — — —
...kogóż oskarżać? — sami przecie
winniśmy, że nas los tak zmógł!
Że tu się wszystko dziwnie plecie,
dziwniej niżby kto myśleć mógł!

Wszystko co nam się kiedyś śniło,
młodzieńczych snów i marzeń świat,
dziwnie się zmienia w treść zawiłą
w stratę największą z wszystkich strat,
w coś co już dawno... dawno... było
wspomnienie jakieś... z młodych lat!

Lecz z czasem wszystko człek przeboli
i słońce padnie mu do stóp
i będzie rad ze swojej doli,
wesół wspomni chwile prób
wówczas gdy zacznie się powoli
układać... w grób!

BAJKA.

Śni mi się jakaś bajka złudna,
gdzieś srebrnem kwieciem sypie sad,
śni mi się w złoty skwar południa
bajka z dziecięcych jeszcze lat.

Przędzie się sen mój w baśń błękitną...
i złote, ciche wschodzą sny — — —
w alejach sadu w słońcu kwitną
cudnie rozśmiane białe bzy...

I szczęście mi się w okół kładzie,
iskrzących marzeń, złudzeń... świat,
jak we wiśniowym ojców sadzie
za mych dziecięcych jeszcze lat.

Śni mi się łzawa dola grajka,
co w skrzypkę swoją zaklął świat,
— śni mi się jakaś złota bajka,
bajka z dziecięcych jeszcze lat!

LALECZKO ZŁOTOWŁOSA...

Dziewczęcych lat... śnie wyślacany,
błękitny dymku z papierosa,
laleczko z kruchej porcelany,
laleczko moja złotowłosa!

Przejasne szczęście mi się wróży,
a nic się złota rwie i pęka, — — —
...twoe oczy, usta... kwiaty róży,
księżniczko moja, ty — maleńka.

Śnię sen o tobie... o — królownie!
sen taki złoty, baśnie, cuda,
— nie słuchasz... czemu? pewnie... pewnie...
wiem, że to tylko sen i — złuda!

Jakże mi smutek serce mroczy,
laleczko mała... śnie rozwiany,
że twoje usta... cudne oczy,
żeś cała — z kruchej porcelany!

GODZINA ZMIERZCHU...

Godzina zmierzchu... sny się złocą
w słonecznej zjawie wschodzi cud —
Jezus maleńki przyjdzie nocą,
chwila najśłodszych śnień i złud!

Godzina zmierzchu... wspomnień tyle
w mgłach srebrnych wstaje pieśń bez słów
niezapomniane nigdy chwile
dziecięcych marzeń... jasnych snów.

Godzina zmierzchu... cicha, zwiewna,
i coś się marzy, coś się śni,
zaklęta w słońca czar królowna,
...cudne wy moje, jasne sny.

Godzina zmierzchu... dzwoni śpiewką,
...na czyjeś serce smutek padł,
babunia, dzieci, boże drzewko,
tak dawno... dawno... tyle lat!

Godzina zmierzchu... sny się złocą
w słonecznej zjawie wschodzi cud —
Jezus maleńki przyjdzie nocą,
chwila najśłodszych śnień i złud.

NAD STAWEM.

W przepstną otchłań stawu zarzuciłem sieci,
sam zaś siedzę na brzegu wśród mchów i paproci,
w kół się wszystko tysiącem barw mieni i złoci,
w dali rozkwitł brzeg śmiechem bawiących się dzieci.

Z drzew okwitłych srebrzysty puch wiatery otęca
w otęcz stawu, gdzie srebrne pluskają się rybki,
w gąszczu traw gnom skrzydlaty tnie w lipowe skrzypki
i baśń prawi błękitną o szczęściu bez końca!

Do serca dziwna radość, szczęście jasne spływa,
morze blasków i woni! Cud żywy się iści
i dusza uśmiechnięta wstaje i szczęśliwa!

A gdzieś z dali... od słońca cudem swojej łaski
idzie — i na jedwabne trawy zielone krosna
rzuci cudnie rozśmiany kwiat... królowa Wiosna!

W SŁOŃCU...

I znów mi dobrze, jak przed laty
słońce mi świeci, pachną kwiaty
i szczęście wchodzi w próg mej chaty — — —

Na sercu ktoś mi swe dziewczęce
dobre... kojące... złożył ręce
i błogosławi mej piosence.

I leci piosnka heł... we światy
i znów mi dobrze, jak przed laty
słońce mi świeci... pachną kwiaty...

BIAŁE GOŁĘBIE.

Ach jak mi żal, ach jak mi żal,
ponad skał szczyty i ponad głębie,
gdzieś w bezpowrotną lecą dal
białe gołębie.

Ach jak mi żal nad pustki hal
po zachmurzonem nieba bezkresie,
gdzieś w bezpowrotną mgławą dal
wicher je niesie.

A wzrok za nimi biegnie wśród łez
w piersiach strwożone, serce się pyta
gdzie one lecą i jaki kres
im świta? — — —

SIEWCA.

Mój Boże, wiosna idzie i życiem się śmieje,
upojna, cicho wraca po długiej rozłące,
na pola, lasy, łąki i na wód rozchwieje
ta święta rodzicielka kwiat niesie i słońce!

I choć przecie pod zasiew mam szmat ziemi plenny,
nie mam czem obsiać, skąpe były plony moje,
cóż robić, gdy już taki los mój nieodmienny
nic nie mieć i siać ziarno w twardych skał wyboje!

I choć wiosna już idzie cichym szmerem liści,
wiosna! I z pełnej ręki łaski ludziom sypie,
a ja stoję, jak obcy na tej szczęścia stypie;

wiem, że się jeszcze kiedyś sen mój złoty ziści —
i choć siew dziś wiatr zbiera, w plony wierzyć muszę,
bom pod zasiew w ziemię własną rzucił duszę!!



SPIS RZECZY

CZĘŚCI PIERWSZEJ: ULICY.

	Strona
Ulica	7
Promenada	8
Kawiarnia	9
Zaułek	10
Cień	11
Wystawa	12
Południe	13
W kawiarni nocnej	14
W tramwaju	15
Wiosna	16
Ulicznik	17
Sobota	18
Północ	19
Podwórze	20
Na spacerze	21
Pierwszy dzień miesiąca	22
Latarnia	23
Z za szyb bazaru	24
Mróz na plantach	25
Z tragedyi dnia	26
Nad ranem	27
W ulicy	28



SPIS RZECZY

CZĘŚCI DRUGIEJ: LIRYKI.

	Strona
Pastela	31
Radość chwili	32
Na ten ugór, na ten cichy	34
O moje biedne zapomniane drzewa	35
Z zamyśleń chwili	37
Z niewysłanych listów	38
Z słotą jesienną	40
Ponad krwawiącym, zgasłym znojem	41
Z nad kołyski	42
Nad wód otchłanną stoję głębią	43
Opada liść	44
Na białym miękkim śniegu	46
Dola	47
Pocóż te wszystkie niepokoje	48
Rycerz zakochał się w laleczce	50
W drodze do śmierci	53
A w tem słońcu, słoneczku	54
Pytasz mię	56
Tak się tu wszystko dziwnie plecie	58
Bajka	59
Laleczko złotowłosa	60
Godzina zmierzchu	61
Nad stawem	62
W słońcu	63
Białe gołębie	64
Siewca	65

TEGOŻ AUTORA:

STROFY CZASU 1914—15.

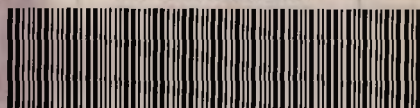
W przygotowaniu:

Z DOMU NIEWOLI.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000272084



I 439058